NARODZINY GENERAŁA

Na wielkiej tablicy ogłoszeniowej, wiszącej na ścianie naprzeciwko wejścia do jadalni, dostrzegłem wśród oficjalnych zapowiedzi i komunikatów kartkę ręcznie napisaną, zawierającą prośbę by żołnierze batalionu takiego a takiego, dywizji takiej a takiej, z roku takiego a takiego, jeżeli są na tym turnusie, byli uprzejmi odwiedzić pokój 712. Potem, przy stole w jadalni, dziadek najmniej sympatyczny, opluwający potrawy przy swoim nieustannym kaszlu, powiedział, że ciekaw będzie posłuchać zapowiedzianej na następny dzień prelekcji o wyzwoleniu Kołobrzegu, bo brał udział w walkach o to miasto, więc sprawdzi prelegenta, czy ten będzie mówił do rzeczy. Następnie w windzie ktoś do kogoś zwrócił się per „panie pułkowniku", a dwaj inni kuracjusze szukali w rozmowie punktów stycznych, gdyż obaj w roku 1939 walczyli w Armii Poznań nad Bzurą i mieli wspólnego znajomego, pochowanego na polu bitwy pod Piątkiem.

Tematy kombatanckie powtarzały się przez cały 24-dniowy turnus w hallu, na spacerach, w kawiarni na dwunastym piętrze — wszędzie i zawsze. Nic dziwnego: masywny kolos, stojący prawie nad samym morzem przy ulicy Gottwalda w Kołobrzegu nazywał się właśnie „Kombatant" i tu na leczenie sanatoryjne kierowały swoich członków oddziały wojewódzkie

Związku Bojowników o Wolność i Demokrację z całej Polski.

Nazwisko Wilut usłyszałem w trzecim dniu pobytu. Stojąc przed śniadaniem w kolejce do sanatoryjnego kiosku „Ruchu", by kupić gazety, usłyszałem:

— Rozmawiałem wczoraj z generałem Wilutem.

Wilut? — powtórzyłem w myśli, odchodząc z gazetami od kiosku.

Wilut! To rzadkie, może nawet unikalne nazwisko słyszałem do tej pory raz w życiu. Nawet je sobie wtedy zanotowałem, ale notatka przepadła, jeszcze podczas wrześniowej zawieruchy. Zapamiętałem jednak dobrze to charakterystyczne brzmienie.

Idąc na spacer nadmorską aleją, uświadomiłem sobie, że powinienem zapytać kogoś z kolejki przed kioskiem, w którym pokoju mieszka, względnie przy którym stoliku w jadalni siedzi ów generał Wilut. Ale nic straconego — pocieszyłem się. — W recepcji łatwo wszystkiego się dowiem.

Od morza dął chłodny wiatr. Styczniowa pogoda nie była tej zimy łaskawa dla kołobrzeskich kuracjuszy: sztormy szły za sztormami. Ale mnie to nie zrażało. Kołobrzeg jest najżyczliwym dla mego serca miejscem w Polsce. Nawet w czas sztormu czuję się w tym mieście lepiej niż gdzie indziej, więc nie żałuję sobie spacerów. Chodzę na nie bez względu na pogodę, a zimę wybieram zawsze jako czas kuracji dlatego, że jest ona okresem najbardziej krytycznym dla stanu mego zdrowia.

Gdy moje oczy kołysały się na roztańczonych falach Bałtyku, pamięć wróciła do biłgorajskich lasów. Trafiłem do nich, wędrując od września 1939 roku na wschód, by zaciągnąć się do polskiego wojska, które z Poznania znikło bez śladu już trzeciego dnia wojny. Było to na dzień przed moim rozstrzelaniem w Jano-

wie Lubelskim, gdy znalazłem się na noclegu w leśniczówce pod Biłgorajem. Jej nazwa uleciała z pamięci. W zakątek ten zabłąkała się kuchnia polowa jakieś zdezorganizowanej jednostki i zapachy tego przybytku Lukullusa ściągnęły sporą gromadę luzaków różnego autoramentu — cywilów i żołnierzy. Dano wszystkim kaszy i kawy na kolację. Po noclegu na słomie — kawy i kaszy na śniadanie. Luksus! Wieczorem, gdy po pierwszej porcji tych smakołyków skręcałem sobie w kawałku gazety papierosa z rozkruszonego liścia tytoniowego, jakiś oficer ze zdartymi epoletami zagadnął mnie, że chętnie by też coś takiego zakurzył.

Poczęstowałem go i tak to się zaczęło. Spaliśmy w nocy na słomie obok siebie. Rano dogadaliśmy się, że akurat obaj mamy na myśli, ten sam kierunek dalszego marszu: Janów Lubelski. Ale nowy znajomy radził iść nie szosą, lecz lasami.

Zgodziłem się z tym, więc po śniadaniu razem ruszyliśmy w drogę. Nie potrzebowałem długo czekać, by dowiedzieć się, że pozbawiony możności dalszej walki oficer jest kapitanem, czy raczej byłym kapitanem. Ja opowiedziałem mu o swoich cywilnych przygodach. Wymieniliśmy też nazwiska. Jego brzmiało właśnie: Wilut. Kapitan Wilut.

Choć wydawało się, że połączyliśmy się do wspólnej wędrówki na dłuższy czas, los rozłączył nas szybko: jeszcze tego samego dnia. Ale co ja mówię: los? W tym właśnie sęk, że to Wilut stał się przyczyną naszego rozstania, a jego rola w tej sprawie nie wydawała mi się chlubna. Czyżby z takiego człowieka mógł wyrosnąć generał? Nasuwała się nieodparta wątpliwość, czy obecny generał Wilut i tamten kapitan Wilut — to ten sam człowiek.

Już następnego dnia ktoś od mojego stolika pokazał mi go, wchodzącego do jadalni. Gruby, zażywny jego-

mość z wielką, siwą głową, w obszernych spodniach i swetrze z grubej wełny, niczym nie przypominał mi tamtego przystojnego oficera.

Ale rozmowa z nim nie była wcale sprawą taką prostą. Sanatorium „Kombatant" jest dużym obiektem, w którym jednocześnie kuruje się kilkaset osób. Każdy zajęty jest swoimi sprawami: kąpielami, spacerami, życiem towarzyskim, choć to i owo łączy wszystkich: winda, schody, dolny hall, jadalnia, sala odczytowo-imprezowa, a także nadmorski deptak i plaża. Spotkanie kogoś jest więc w równym stopniu łatwe co trudne, wszystko zależy od przypadku. Ponadto generał chodził zawsze w towarzystwie, często z dwiema lub trzema osobami, zawsze rozgadany i rozgestykulowany. Powiedział mi ktoś od stołu, że trzymają się go ludzie, którzy zetknęli się z nim w czasach walk partyzanckich, lub podlegali jego komendzie. To dobrze o nim świadczyło.

Upolowałem go na koniec w windzie. Ja mieszkałem na dziesiątym piętrze, on na siódmym. Jechałem na dół sam, on dosiadł jako drugi, co prawda znowu z kimś trzecim, ale w tej sytuacji mogłem go zagadnąć.

— Przepraszam, panie generale. Oblegają pana bez przerwy jacyś pańscy wojacy, ale może pan wysłucha moich trzech zdań, choć nigdy nie byłem partyzantem. Nie jest natomiast wykluczone, że spotkaliśmy się we wrześniu 1939 roku, a nawet przedzieraliśmy się razem lasami między Biłgorajem a Janowem Lubelskim.

Oczy jego rozszerzyło zdumienie. Cała twarz wyrażała w tej chwili koncentrację uwagi. Ale byliśmy już na dole, musieliśmy wysiadać. Dopiero więc w hallu powiedział:

— Więc to pan? Czy ma pan pojęcie, jak często wspominałem ten wieczór w leśniczówce, tego skręta z gazety i nasz marsz przez las, zakończony tak niefortunnym rozstaniem? Pan Bóg mi pana zesłał!

— Czyżby? — wydukałem nieśmiało.

Jego pulchna twarz skotłowała się gmatwaniną zmarszczek wyrażających uśmiech.

— Proszę pana, ja dopiero tego dnia stałem się żołnierzem. Jakbym urodził się od nowa.

— Jakżeż to? — spytałem z niedowierzaniem. — Przecież był pan już wtedy kapitanem.

Machnął lekceważąco ręką.

— Ech, panie, to prawda, ale niech pan wierzy i w to co mówię. Wie pan co? Idę teraz do miasta, jestem umówiony. Ale musimy spotkać się i pogadać. Pragnę panu powiedzieć, że ilekroć wspomniałem ten dzień, nękała mnie myśl o tym, jak pan wybrnął z tamtej strasznej sytuacji. Gryzły mnie wyrzuty sumienia. Nie wiedziałem przecież, czy pan przeżył, czy może został na amen w tym lesie. Chciałbym bardzo, żeby mi pan to wszystko opowiedział. Więc co, spotkamy się?

— Bardzo chętnie — przystałem. — Ale pan generał bez przerwy w asyście.

Roześmiał się głośno.

— Ma pan rację. Także i teraz. — Tu wskazał na mężczyznę, który przez cały czas milcząco przysłuchiwał się naszej rozmowie. — Panowie pozwolą. Major Staniewski. A pan, przepraszam...

Wymieniłem swoje nazwisko.

— A stopień, przepraszam?

Musiałem mieć głupią minę, bo obaj patrzyli na mnie, jak na raroga. Wreszcie generał spróbował mi pomóc:

— Mam na myśli pański stopień wojskowy.

Zrobiłem teraz minę pewną siebie i oświadczyłem:

— Nie mam żadnego stopnia. Jestem urodzonym cywilem.

— Ale kombatantem?

— Tak. Z tajnego nauczania.

Obaj uczynili gesty uznania, twarze ich przybrały

wyraz godny, choć było w tym wszystkim dużo sztuczności. Generał po chwili skłonił głowę i zapewnił solennie:

— Jestem pełen podziwu i uznania dla bohaterskiej pracy naszych nauczycieli nad kształtowaniem postawy młodego pokolenia w tamtym okropnym czasie.

Nastała chwila konsternacji, jakby wyczerpał się temat i nie było wiadomym, co czynić dalej. Zapytałem więc już nieco mniej pewnym głosem, zwątpiwszy w to, czy zwykły cywil jest w tym towarzystwie kimś na miejscu.

— Kiedy pan generał zechce użyczyć mi chwili rozmowy?

— Prawda. Tylko ja panu nie chcę niczego użyczać. To ja proszę pana o spotkanie — roześmiał się. — Powiem panu, że mam już dosyć tych staruchów, nudzących godzinami o swoich bojowych wyczynach, które teraz jakże często wyolbrzymiają, zwłaszcza przede mną, tak jak bym mógł ich wszystkich mianować generałami. To są ludzie o wspaniałych biografiach, ale na starość cholernie nudni. Rozmowa z panem wprowadzi mnie w całkiem inne rejony. No więc, drogi panie: jutro wieczorem po kolacji? Dobrze?

— Dobrze — przystałem. — Gdzie?

— Przyjdzie pan do mnie do pokoju?

— Dobrze — powtórzyłem.

— Numer siedemset pięć. Zapamięta pan?

— Oczywiście. Nie muszę nawet zapamiętywać, bo też mieszkam w jednosobowym pokoju, w tym samym pionie, tylko wyżej: tysiąc pięć.

— No to do zobaczyska.

Podał mi na pożegnanie duże, tłuste łapsko.

Niecierpliwie czekałem na umówione spotkanie. Nurtowało mnie przede wszystkim pytanie, co ten człowiek miał na myśli, mówiąc, że dopiero tego dnia, tam

w lesie, stał się żołnierzem? Jak to on się wyraził? „Tego dnia jakbym urodził się od nowa."

Wilut słusznie określił nasze rozstanie jako niefortunne. Ówczesny kapitan postąpił niesolidarnie, niekoleżeńsko. Zwyczajnie się ulotnił, zobaczywszy Niemców. Nie uprzedził mnie o ucieczce, pozostawiając towarzysza doli i niedoli po prostu na pastwę wroga.

Szliśmy lasem wzdłuż szutrowej szosy, mniej więcej w odległości kilometra od niej. Można by to nazwać spacerem, gdyby nie ogromne zmęczenie wielu dniami pieszego marszu, głodówką i beznadziejnością sytuacji. Armia hitlerowska posuwała się w głąb Polski, a myśmy lawirowali tak, by nie wpaść w łapy najeźdźczych żołnierzy. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że jest to niemożliwością, że w tej wojnie Polska ulegnie przemocy i znajdzie się pod kilkuletnią okupacją. Wtedy nawet na chwilę nie dopuszczaliśmy tego do swych głów.

Nasza uwaga w czasie tej leśnej wędrówki nie była wyostrzona na szczególne niebezpieczeństwa. Czuliśmy się tam raczej jak u Pana Boga za piecem, pewni, że nic nam nie grozi. Szliśmy sobie naprzód pod osłoną lasu i zwyczajnie rozmawialiśmy. Aby tylko osiągnąć następny etap, to znaczy dojść do Janowa i tam zorientować się, co można z sobą uczynić dalej. Dalsze plany bowiem uzależnialiśmy od tego, co zastaniemy w miasteczku i czego dowiemy się o sytuacji ogólnej. Zbieraliśmy po drodze borówki, które rosły jeszcze w owym słynnym, pogodnym Wrześniu i pożywialiśmy się nimi, więc szedłem to za kapitanem, to przed nim, kiedy indziej zrównywaliśmy się.

Nagle straciłem go z oczu. Zatrzymałem się i zacząłem szukać go wzrokiem. Nie było go nigdzie dookoła. Powiedziałem głośno: — Gdzie pan jest?

Nie było odpowiedzi. Zawołałem głośniej:

— Panie kapitanie, gdzie pan się podział, do cholery?!

Nic.

Zaniepokoiłem się. Rozglądałem się teraz nerwowo. Z jednej strony teren obniżał się, tam dalej las nieco się przerzedzał. I oto w tym przerzedzeniu spostrzegłem regularne obozowisko wojskowe. Wysiliłem wzrok: to nie były polskie mundury!

Niemcy!!

Serce podeszło mi pod gardło. Skoczyłem za najbliższy grubszy pień sosny. Ostrożnie wychyliłem głowę. Żołnierze krzątali się, zajęci obozowymi czynnościami. Na szczęście żaden z nich nie wybierał się w moją stronę. Musieli mnie nie dostrzec.

Przypadłem do ziemi i zacząłem czołgać się po igliwiu. Spieszyłem się, dyszałem ze zmęczenia. Raz po raz oglądałem się za siebie. Nikt za mną nie podążał, nie widzieli mnie. Wreszcie i ja straciłem ich z oczu. Wtedy podniosłem się i ruszyłem szybko przed siebie, w stronę Janowa, kierując się położeniem słońca. Rozglądałem się bez przerwy, ale nie zobaczyłem już ani kapitana ani Niemców. Dopiero po kilkunastu minutach w odległości około dwustu metrów przed sobą ujrzałem gromadkę bab, zapewne zbierających leśne runo. Przyspieszyłem kroku, żeby z nimi porozmawiać, rozpytać je, co słychać w tej okolicy. Lecz baby szły jakoś dziwnie równym rządkiem. Normalną tyralierą. To byli znowu niemieccy żołnierze. Przeczesywali las.

Jeszcze raz uskoczyłem za pień. Ale oni szli w moją stronę, zapewne kierowali się do tamtego obozu, który pozostawiłem za sobą. Być może wracali ze zwiadu.

I znowu serce w gardle. I wytężona myśl. I strach ogromny, paraliżujący.

Na szczęście, kilkanaście kroków w bok, rosły jakieś krzaki. Podbiegłem do nich chyłkiem, położyłem się

w najgęściej zarośniętym miejscu. I zaraz pomyślałem, że jeżeli oni mają psa, to ze mną koniec. Leżałem nieruchomo. Bałem się, by nie zakasłać, nie kichnąć, by nie zrobić czegoś, co mogłoby skierować na krzaki uwagę żołnierzy.

Już zbliżali się, już słyszałem ich rozmowy. Typowy, gardłowy głos niemieckich chłopów, mówiących jakimś południowym narzeczem.

Na szczęście psa nie mieli. Mijali mnie w odległości dwóch-trzech metrów. Przeszli. Czekałem jeszcze długo, nim się oddalili. Ale wtedy już stanowczo podjąłem decyzję wyjścia na szosę Biłgoraj—Janów, by po niej kontynuować swój marsz.

Późnym popołudniem dotarłem do Janowa Lubelskiego. To właśnie tego dnia zostałem tam rozstrzelany. Rozstrzelany? Tak, bo przecież przeżyłem wszystko, co przeżywa człowiek rozstrzelany, nie przeżyłem tylko tego, czego on już także nie przeżywa.

I oto po kilku dziesiątkach lat wchodziłem do pokoju Wiluta w kołobrzeskim sanatorium „Kombatant".

Generał był sam. Rozparty w fotelu, słuchał radia. Powitał moje wejście kordialnym okrzykiem. I zaraz zerwał się, by zamknąć na klucz drzwi.

— Wie pan, mógłby znów wtargnąć jakiś partyzant. Nie ma ich zbyt wielu, tylko czterech, ale kręcą się koło mnie tak, jakby ich było dwudziestu. W dodatku wypada uczcić nasze spotkanie małym grzechem. To ponoć nawet grzech śmiertelny, chlapnąć w sanatorium kielicha, bo za to wyrzucają na zbity pysk. Ale trudno, grzech ludzka rzecz. Nie urżniemy się przecież.

Mówił to wszystko, stawiając na stole dwa blaszane kieliszki podróżne i piersiówkę z francuskim koniakiem, opróżnioną już zresztą do połowy. Położył też torebeczkę słonych paluszków, które akurat tego dnia sprzeda-

wał kiosk na dole. Napełnił kieliszki, mówiąc bez przerwy:

— No widzi pan. Żołnierz musi mieć wszystko. Ale jak ja to powiedziałem panu przedwczoraj? „Tego dnia urodził się we mnie żołnierz."

— Czy można by strawestować to tak — podchwyciłem — że tego dnia narodził się generał?

Zmarszczył czoło, podniósł w górę wskazujący palec prawej ręki, zastanowił się przez chwilę.

— A wie pan, że można. Kapitalnie pan to sformułował. Jeżeli przyjąć, że każdy żołnierz nosi w tornistrze buławę... Tak, oczywiście! Ale my tu gadu-gadu, a koniaczek stygnie. Za nasze spotkanie!

Gdy odstawiliśmy kieliszki i zagłębiliśmy się wygodnie w fotelach, generał zaproponował:

— No, to niech pan opowiada. Jak to było tego dnia? Jak ułożyły się dalej pańskie losy, aż do dziś?

Opowiedziałem mu więc dalszy przebieg zdarzeń w lesie, opowiedziałem, jak mnie schwytano w Janowie i co z tego wynikło, jak wreszcie wróciłem do Poznania. Opowiedziałem mu w skrócie całe swoje życie.

Trzeba przyznać, że generał, którego uważałem za gadułę, umiał jednak słuchać. Siedział, czy raczej półleżał w obszernym fotelu, a cała jego postać wyrażała skupienie. Przymykał oczy, robił przeróżne miny stosowne do mojej narracji, od czasu do czasu podnosił kieliszek i sączył z niego trunek. Nie zareagował, gdy w pewnym momencie ktoś zapukał do drzwi, nie drgnął też nieco później na dzwonek telefonu. Dopiero gdy skończyłem, westchnął „no tak" i od nowa napełnił kieliszki.

Potem on opowiadał o sobie, pomijając jednak przebieg owego dnia w lesie. Jak wrócił do domu, lecz musiał z niego, jako zawodowy oficer, uciekać. Jak się przez krótki czas ukrywał i rozpierała go żądza walki z oku-

pantem. Jak poszedł do partyzantki, właśnie w lasy janowskie i tam obejmował coraz wyższe stanowiska dowódcze. Jak po wyzwoleniu Lubelszczyzny stał się żołnierzem Odrodzonego Wojska Polskiego. Po wojnie pracował w Ministerstwie Obrony i dochrapał się stopnia pułkownika. A potem dopiero, jako emeryt i zarazem działacz kombatancki, został mianowany generałem za zasługi właśnie partyzanckie.

Byłem trochę zawiedziony tym jego curriculum vitae, choć biografię miał interesującą i nietuzinkową, bo spodziewałem się, że wyjaśni mi sprawę swego zniknięcia w lesie, powie dlaczego mniema, że dopiero owego dnia stał się żołnierzem. Ale zamiast o to, pytałem go o stosunki rodzinne i inne prywatne sprawy.

Wreszcie on sam rozdziawił tłustą gębę jowialnym uśmiechem i wypalił:

— Mój panie! Pyta mnie pan o różne takie duperele, a nie jest pan ciekaw, jak to było ze mną owego wrześniowego dnia w lesie między Biłgorajem a Janowem?

Spojrzałem na niego nieśmiało.

— Jestem tego bardzo ciekaw. Ale akurat o ten szczegół nie miałem odwagi pytać.

Teraz on mnie przewiercał wzrokiem.

— Hm. Nie miałeś pan odwagi. Znaczy, że mnie pan posądzasz o coś złego.

— Ależ nie! O nic pana nie posądzam!

— Nie? No to skąd ten brak odwagi? Taki cywilny strach? Ale nie, przepraszam, w cywilu trzeba niekiedy więcej odwagi niż w boju. A więc chce pan o tym posłuchać?

— Oczywiście. Czekam na to od początku.

— Tylko wpierw panu wyjaśnię, dlaczegom sam się nie spieszył z tą sprawą. Pan się domyśla. Tkwi we mnie ten sam strach, co w panu. Tylko ten strach wychodzi ze mnie innym końcem. Oto boję się, ja, żoł-

nierz. Bałem się, jak pan i boję się do tej chwili. Boję się tego, że pan wszelkie moje tłumaczenia potraktuje jako zwyczajne wykręty, jako mydlenie oczu i pic na wodę. Bo ja przecież nie mam żadnych dowodów na to, co panu powiem.

— Ależ ja chcę panu wierzyć! — zawołałem gorliwie. — Nie mam żadnego powodu, by panu nie ufać, panie generale.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Wreszcie po dłuższej chwili uniósł kieliszek, trącił się ze mną w milczeniu i tym razem wypił koniak do dna, jak czystą wódkę. Odstawiwszy puste naczynie, zanurzył się w fotelu jeszcze głębiej, przymknął oczy i zaczął mówić:

— To dobrze, że mi pan wierzy. Trzeba ludziom wierzyć. Może całe zło dzisiejszego świata tkwi w tym, że ludzie są sobie nieufni, że nieufne są sobie całe narody. Ale wracajmy do tamtego dnia. Właściwie sprawa jest prosta. Gdy tylko zobaczyłem to niemieckie obozowisko, tam, w dole i nogi mi chciały ze strachu wrosnąć w ziemię, to już w następnej sekundzie powiedziałem cichutko „wiejemy" i zaraz zacząłem uciekać. Obejrzałem się po kilkunastu sekundach, czy nas nie gonią, ale zamiast tego zobaczyłem, że pan idzie dalej, tak jakby nic nie zaszło. Zawołałem na pana jeszcze raz, ale pan widocznie nie słyszał. Zacząłem wracać, czołgając się, ale w takiej pozycji nie mogłem pana dogonić. Bałem się o to, że Niemcy pana dostrzegą, ale przecież nie mogłem krzyczeć, bo i oni usłyszeliby mój głos, byliśmy bardzo blisko nich. A nie ma w wojsku takiej zasady, żeby zamiast jednego ginęło dwóch. Więc wycofałem się i uciekałem dalej sam. Straciłem pana wreszcie z oczu. Byłem pewny, że i pan wreszcie się zorientował i zaczął chyłkiem nawiewać, tylko w nieco innym kierunku niż ja. Zresztą, gdyby pana zobaczyli, to na pewno by strzelali, a strzałów nie było

słychać, z czego wynikało, że pan ocalał. Szukałem pana potem długo, ale zamiast na pana natknąłem się w lesie jeszcze raz na Niemców. Szli przez las tyralierą. A pan ich przypadkiem nie spotkał?

— Spotkałem.

— Proszę pana, ja przez całe lata następne pytałem sam siebie bez skutku, czy pan uciekł, czy też pana capnęli. Nurtowało mnie to i nurtowało. I może ten niepokój o pana wzmacniał we mnie ową żołnierską postawę, która tego dnia się we mnie wzbudziła. Bo widzi pan, pan mówi, że już przedtem byłem kapitanem. Ja byłem takim szkolnym kapitanem, takim koszarowym łazikiem, kapitanem z wykształcenia i pokojowych, poligonowych awansów, ale nigdy nie widziałem przed sobą prawdziwego, żywego wroga. Zobaczyłem go dopiero tego dnia. Nawet pan miał wtedy nade mną tę przewagę, że już wcześniej Niemcy pana zamykali i pan im uciekał. A ja — nic. To był mój pierwszy kontakt, nie z tym nieprzyjacielem podczas ćwiczeń, tylko z nienawistnym agresorem, który napadł i rabował moją ojczyznę. Bo nawet przez te kilkanaście pierwszych dni wojny, przez kilkanaście dni mojej żałosnej wojaczki nie miałem okazji zobaczyć hitlerowców na oczy. Tam, w lesie, zetknąłem się z nimi nagle w sytuacji zagrożenia. Przyznam się panu, że wzbudzili we mnie zwyczajny strach, który kazał mi uciekać, ale jednocześnie szalony gniew bezsilności, który powoli przeradzał się w odwagę. Od tej chwili nie zaznałem spokoju. Chciało mi się bić ich, mordować. Za siebie samego i za moją rodzinę, za pana i za wszystkich, za całą Polskę. Gniew ten rósł potem, gdy przyszedł czas okupacji. Nie mogłem siedzieć w ukryciu i nic nie robić. Powiedziałem sobie: jesteś żołnierzem zawodowym, więc kto ma bić wroga, jeżeli nie ty? I poszedłem, i biłem się. Do końca. Ale ten proces

rozpoczął się tam, w lesie. To jest więc rzecz dosłowna, że tego dnia urodziłem się jako żołnierz, czy jak pan chce, że tego dnia urodził się generał. A pan się do tych narodzin przyczynił, pan był moim wyrzutem sumienia, mnożącym gniew.

Wilut przestał mówić. Siedział i dyszał. Widać było, że wszystkie te zdania wyrzucił z siebie, jak długo męczącą zmorę. Że mu ta krótka opowieść zdjęła kamień z serca. Jeszcze raz przymknął oczy i siedział nieruchomo tak długo, aż jego piersi przestały charczeć ciężkimi oddechami.

Wymieniliśmy potem zdania już zdawkowe, nieważne.

W następne dni mijaliśmy się z serdecznymi uśmiechami, witaliśmy się miłymi gestami rąk. Generał nadal chodził w asyście swoich ludzi, bez przerwy o czymś z nimi rozprawiając. Ze mną tylko w przelocie wymieniał pojedyncze zdania. Ale któregoś dnia podszedł do mnie i zaproponował:

— Wie pan co? Wymienilibyśmy adresy. Ja, co prawda, nie mam zdrowia do pisania, ale może kiedyś będę chciał coś do pana napisać? A może pan do mnie?

Podałem mu swoją wizytówkę. On po dłuższym szukaniu znalazł w portfelu swoją.

I jeszcze w przedostatnim dniu turnusu sanatoryjnego zagadnął mnie, porzuciwszy dwóch mężczyzn z którymi szedł.

— Wie pan co? Ilekroć na pana patrzę, to przychodzi mi na myśl, jaką pestką była cała nasza wojaczka w porównaniu z waszą robotą w tajnym nauczaniu. Zawsze tam na górze, już po wojnie, w Warszawie, broniłem nauczycieli, gdy chciano postponować wasze kombatanckie zasługi. Widzi pan, my, żołnierze, machaliśmy ze strachem szabelką, automatem albo jakąś spluwą, a wyście pokonując strach gromadzili młodzież,

a w pracy z nią musieli na dobitkę precyzyjnie myśleć. Pewnie, w wojaczce też bez myślenia nie da rady, ale jednak po waszej stronie jest przewaga. Przewaga jest także po stronie pana, gdy porównuję nas obu. Bo tam, w lesie między Biłgorajem a Janowem, ja zwyczajnie miałem pietra. Zwyczajnie nawiałem. Ze strachu. Choć to prawda, co mówiłem o okolicznościach naszego rozstania. Ech!

Machnął ręką i odszedł.

Od tej pory generała nie widziałem. Do dnia dzisiejszego nie napisaliśmy także do siebie.